

Gdy dziś wraca się do lat prezydentury Baracka Obamy, łatwo wpaść w spór o hasła. Jedni chcą widzieć w tym czasie triumf polityki „dla gospodarki”, inni słyszą głównie rozczarowania i kompromisy. Ja patrzę na to inaczej: na to, jak w praktyce próbowano pogodzić dwie rzeczy, które zwykle ciągną się w różne strony. Z jednej strony tempo wzrostu po kryzysie, z drugiej pytanie, czy ten wzrost w ogóle dotyka ludzi, którzy nie potrafią czekać na efekty uboczne.

Obamy nie da się rozpatrywać bez kontekstu 2009 roku. Gospodarka była połamana, a zaufanie w systemie finansowym pękało jak szkło. W takim momencie „gospodarka” nie jest abstrakcją. To są miejsca pracy w konkretnych dzielnicach, rodziny, które przestają spłacać raty, firmy, które nie wiedzą, czy przetrwają kolejny kwartał. Polityka gospodarcza Obamy to w dużej mierze decyzje podejmowane w warunkach presji, nie w warunkach komfortu.

Co znaczył wzrost „po kryzysie”, a co znaczył w salonie i w fabryce

W debacie politycznej często myli się trzy pojęcia: wzrost PKB, wzrost zatrudnienia i poprawę sytuacji rodzin. PKB może wyglądać lepiej zanim poczują to ludzie, albo gorzej, mimo że rynek pracy już się odtwarza. W 2009 roku problem nie polegał na tym, że „wzrost jest za mały”. Problem polegał na tym, że mechanizmy, które zamieniają pieniądze w pracę, zacięły się.

Obama wszedł w urząd z pakietem działań mających pobudzić popyt, i z jednoczesnym planem naprawy finansów. W praktyce oznaczało to dwutorowość: krótkoterminowe wsparcie, żeby przynajmniej zatrzymać spadek zatrudnienia, oraz dłuższe prace nad tym, by w przyszłości system nie generował kryzysów tej skali.

To, co w tej strategii było przekonujące, polegało na rozumieniu, że sama narracja o tym, iż „rynek się sam naprawi”, jest dla ludzi w złej kondycji zbyt wolna. Gdy bezrobocie rośnie, a kredyty się zaciskają, każdy kolejny miesiąc ma koszt społeczny. Jeśli przyjąć tę logikę, to działania pobudzające i działania regulacyjne mają sens jako jedna całość, nawet jeśli brzmią różnie w kampanijnych sloganach.

Natychmiastowa odpowiedź: ratowanie i odbudowa zaufania

Kluczowym elementem była szybka reakcja po kryzysie finansowym. Nie chodzi wyłącznie o to, żeby „dać pieniądze”. W gospodarce działa to tak, że jeśli instytucje nie wierzą w swoich partnerów, przestają pożyczać i wstrzymują inwestycje. To potrafi zabić nawet zdrowe firmy, bo ich płynność znika szybciej niż zdążą znaleźć alternatywę.

W tym sensie polityka Obamy miała dwa cele naraz: zatrzymać falę upadłości i ponownie uruchomić obieg kapitału. Autentycznym wskaźnikiem, czy to działa, jest nie to, [barack obama e-book](#) jak brzmią wykresy, tylko jak szybko firmy zaczynają zatrudniać, a ludzie wracają do zdolności kredytowej. W danych z tamtego okresu widać, że bezrobocie spadało wraz z upływem lat i przechodziło z poziomów bardzo wysokich do znacznie niższych. To nie jest wyłącznie zasługa jednej osoby czy jednego pakietu, ale trudno udawać, że polityka nie miała znaczenia.

Warto też pamiętać o trudnym kompromisie: aby ratować system, trzeba czasem ratować instytucje, które w oczach opinii publicznej „powinny upaść”. To zawsze jest politycznie i moralnie ryzykowne. Obóz popierający ostrzejszą linię miał argument: dlaczego podatnik ma wchodzić w rolę ochrony dla tych, którzy grali zbyt agresywnie? Z kolei druga strona odpowiadała: jeśli upadną kluczowe elementy systemu, to koszt społeczny będzie większy niż jakiegokolwiek rozliczenie na później.

Obama nie zbudował sytuacji, w której obie strony są w pełni zadowolone. Zbudował sytuację, w której system odzyskuje funkcjonalność wcześniej, niż kosztuje to społeczeństwo najgorsze scenariusze.

Regulacje, które miały ukrócić „kryzysowy hazard”

Kiedy kryzys minął najgorsze fazy, ciężar przesunął się na to, by podobna spirala nie uruchomiła się ponownie. Ustawy regulacyjne kojarzone z administracją Obamy miały z grubsza jeden cel: ograniczyć ryzyka w sektorze finansowym i wzmocnić nadzór. To temat, w którym łatwo o uproszczenia. W praktyce regulacje gospodarcze zawsze są kompromisem między bezpieczeństwem a kosztem dla inwestycji.

Jeżeli chcesz systemu bardziej odpornego, musisz zaakceptować, że część strategii zarobkowych przestaje być opłacalna, a instytucje płacą za większą przejrzystość. Dla ludzi to zwykle korzyść, bo mniej jest sytuacji, w których indywidualny obywatel płaci drugi raz, gdy system się sypie. Ale dla firm, zwłaszcza mniejszych, czasem to oznacza wyższe bariery wejścia. To jest właśnie trade-off, którego nie da się wymazać.

Najlepszy przykład tego, jak regulacja dotyka „zwykłych” ludzi, to temat ryzyk kredytowych i stabilności instytucji. Jeśli banki mają zachęty do ostrożności, rośnie szansa, że w kolejnym spadku cyklu gospodarka nie zareaguje jak zapalnik na etykiecie „łatwiej niż myślisz”.

Rynek pracy: obietnica, że wzrost wreszcie trafi do ludzi

Kiedy ludzie pytają, czy wzrost był „z uwzględnieniem ludzi”, najczęściej chodzi o dwie rzeczy. Po pierwsze, czy praca jest w ogóle dostępna. Po drugie, czy praca pozwala żyć bez ciągłego lęku o zdrowie, emeryturę i podstawową stabilność.

W latach po kryzysie w USA rosło zatrudnienie i spadało bezrobocie, choć tempo nie było liniowe. Najbardziej uczciwe spojrzenie wymaga uznania, że w tym czasie część osób i branż odczuwała poprawę szybciej, a część wolniej. Równie uczciwe jest przyznanie, że nawet spadające bezrobocie nie oznacza automatycznie, że wszyscy dostali podwyżki, a ryzyko życia od wypłaty do wypłaty zniknęło.

W tym kontekście ważny jest wybór polityki społecznej powiązanej z gospodarką. Obamy działania w obszarze ochrony zdrowia i zabezpieczenia społecznego nie były projektami stricte „ekonomicznymi”, ale gospodarczo miały realny skutek: redukowały niepewność. A niepewność jest jak podatek płacony w nerwach i w długach.

Kiedy ktoś ma rachunki medyczne, których nie da się przewidzieć, jego konsumpcja staje się ostrożna, a plany inwestycyjne firmy zostają wstrzymane. Z perspektywy makroekonomii to nie jest tylko kwestia moralna. To czynnik wpływający na popyt i na stabilność gospodarstw domowych.

Ubezpieczenie zdrowotne jako element stabilności gospodarczej

Ustawa związana z Affordable Care Act była jednocześnie symbolem i polem walki politycznej. Dla zwolenników to przełom, dla krytyków zbyt kosztowne lub zbyt ingerujące. Ja traktuję to bardziej technicznie: nawet jeśli sam projekt ma swoje wady, to mechanizm osłabienia „ryzyka zdrowotnego” działa na gospodarkę przez kanał przewidywalności.

Gdy więcej osób ma realny dostęp do opieki zdrowotnej, maleje prawdopodobieństwo nagłych finansowych katastrof. W praktyce przekłada się to na decyzje o pracy i mobilności. Nie chodzi o to, że ludzie nagle zaczynają wierzyć w idealny świat, ale że trudniej jest nagle wypaść z systemu z powodu jednego zdarzenia.

To jest „wzrost z uwzględnieniem ludzi” w najbardziej codziennym znaczeniu. Ekonomia nie jest tylko o stopach procentowych i indeksach giełdowych. Ekonomia to także to, czy ktoś może zachować ciągłość leczenia, czy musi

przerywać terapię, bo koszt rozkłada się na raty których nie ma.

Podatki, inwestycje i pytanie o sprawiedliwość

Wątek podatkowy jest zawsze zdradliwy, bo dotyczy emocji, ale w gospodarce ma twarde konsekwencje. Administracja Obamy starała się utrzymać bodźce dla wzrostu przy jednoczesnej narracji o tym, że ciężar naprawy kryzysu nie może spadać wyłącznie na osoby o najniższych dochodach. Równocześnie część rozwiązań spotykała się z krytyką, że ulgi i zachęty podatkowe dla przedsiębiorstw są zbyt rozległe albo że nie ma gwarancji, iż przełożą się na inwestycje i miejsca pracy.

Uczciwe spojrzenie na tę część polityki brzmi tak: przy słabym wzroście rząd próbuje podtrzymać inwestycje i popyt, bo recesja ma tendencję do utrwalania się. Przy zbyt dużym obciążeniu fiskalnym w złym momencie możesz zabić dynamikę. Tyle że przy rosnących nierównościach pojawia się pytanie o legitymację społeczną. Jeśli ludzie widzą, że część społeczeństwa rośnie szybciej, ale oni stoją w miejscu, to rośnie napięcie, a napięcie osłabia reformy.

W tym sensie spór polityczny o podatki w okresie Obamy był sporem o to, jak długo i na jakich warunkach można prowadzić politykę, która ma pobudzić wzrost, jednocześnie próbując go „opisać” językiem sprawiedliwości.

Edukacja, praca i ograniczenia realnych szans

Jeśli wzrost ma być „dla ludzi”, nie wystarczy tworzyć miejsc pracy. Trzeba też dbać o to, by ludzie mieli do tych miejsc kompetencje albo możliwość ich zdobycia bez wpadania w dług na lata. W USA w tamtych latach dużo mówiono o szkoleniach, a także o problemach, które dotyczą młodych, osób w półczynnnych branżach i pracowników o niskiej mobilności.

Tu trzeba powiedzieć coś niewygodnego: nawet najlepsze programy edukacyjne nie wypełniają natychmiast luki na rynku pracy. Czas jest wrogiem. Jeżeli branża zwalnia, to człowiek musi poradzić sobie z sytuacją teraz, a szkolenie trwa miesiące. To znaczy, że polityka rynku pracy musi działać w dwóch horyzontach: natychmiastowym wsparciu i dłuższym dopasowaniu kompetencji.

W praktyce administracja Obamy stawiała na narzędzia, które miały zwiększyć dostęp do pracy i ograniczyć skutki bezrobocia. Efekt był mieszany, bo rynek pracy reaguje na cykl gospodarczy i na specyficzne branże, które mają własną dynamikę. To kolejny powód, dla którego nie da się uczciwie udawać, że jeden prezydent rozwiązał problem nierówności. Dał impulsy, stworzył ramy i próbował przesunąć ciężar odpowiedzialności, ale realne skutki przechodzą przez wiele instytucji i interesów.

Trade-offy, których nikt nie wygrywa w skali całego kraju

Jest kuszące, żeby opowiadać o Obamie jak o sprawnym inżynierze, który zawsze wybiera właściwą drogę. Tak nie było. Praktyka polityczna ma koszty, a koszty nie rozkładają się równo.

Po pierwsze, spór o wydatki i regulacje oznaczał tarcia z kongresem i wizerunkowe konflikty. Po drugie, nawet jeśli gospodarka przyspiesza, to nie znaczy, że wszystkie regiony i grupy społeczne odczują to tak samo. Po trzecie, globalna wymiana handlowa i technologia działają niezależnie od prezydenta. Możesz prowadzić sensowną politykę krajową, ale jeśli w danym sektorze następuje automatyzacja albo przesunięcie produkcji, to lokalny rynek pracy odczuje to mocniej niż krajowe średnie.

I tu pojawia się najważniejszy wniosek perswazyjny: „wzrost z uwzględnieniem ludzi” nie polega na jednym wielkim zwycięstwie. Polega na tym, że rząd wybiera, które koszty bierze na siebie, i które ryzyka próbuje

ograniczyć. Administracja Obamy próbowała ograniczać ryzyka systemowe i społeczne naraz. To było podejście bardziej realistyczne niż proste obietnice, że albo rynek, albo państwo zrobi wszystko.

Jak rozpoznać, czy polityka działa, zamiast słuchać narracji

W rozmowach o Obamie lub o jakiegokolwiek administracji słyszy się sporo liczb wyrwanych z kontekstu. Przy gospodarce to błąd, bo dane są powiązane, a koniunktura to nie jest punkt startu. Z perspektywy praktyka lepiej patrzeć na symptomy, które wracają w życiu ludzi.

W mojej pracy doradczej wielokrotnie widziałem, że ludzie nie pamiętają ustaw w szczegółach. Pamiętają, czy jest praca, czy jest stabilność, czy rachunki są w miarę pod kontrolą, czy choroba nie rozwała domowego budżetu, czy składki i podatki nie rosną „znienacka” w momencie, gdy i tak brakuje marginesu.

Jeśli spojrzeć na działania administracji Obamy przez ten pryzmat, to logika jest następująca. Najpierw ratowanie gospodarki i ograniczanie ryzyk, potem regulacje i stopniowe zmniejszanie bezrobocia, równoległe budowanie mechanizmów osłonowych w obszarze zdrowia i zabezpieczenia. Taki układ nie daje idealnej równowagi, ale ma sens jako strategia zmniejszania gwałtownych wahań, które najbardziej uderzają w ludzi o słabej odporności finansowej.

Można to sprowadzić do prostego kompasu oceny:

- Czy bezrobocie spada w sposób, który realnie daje nadzieję ludziom, a nie tylko poprawia statystyki.
- Czy ludzie zyskują przewidywalność, zwłaszcza w obszarze zdrowia i kosztów ryzyka.
- Czy firmy mają warunki do inwestowania, czy wyłącznie do krótkoterminowego przetrwania.
- Czy regulacje ograniczają powtarzanie się katastrof, zamiast tworzyć nowe koszty bez efektu.
- Czy w regionach i branżach dotkniętych zmianami da się złagodzić przejściowy ból.

To nie jest ocena w stylu „kto ma rację”. To jest ocena, czy strategia redukuje największe, najbardziej bolesne ryzyka.

Spojrzenie na ludzi: dlaczego spór o „książki” jest sporem o biografie

Jedna rzecz, którą zauważyłem u osób niezwiązanych z gospodarką, jest ciekawa. Gdy pytasz ich o gospodarkę, często mówią o jakości życia, a nie o PKB. I to nie jest brak wiedzy. To jest zdrowa intuicja. Bo gospodarka jest mechanizmem, który wytwarza warunki do życia, a nie tylko wynik na wykresie.

W latach Obamy przeciętnemu człowiekowi łatwiej było wyobrazić sobie stabilizację niż w najgorszym momencie kryzysu. To ważne, bo w recesji nawet osoby pracujące zaczynają żyć w trybie alarmowym. Sprzedają plany, odkładają decyzje o dzieciach, kredytach i zmianie pracy. Stabilizacja psychologiczna jest w gospodarce realnym czynnikiem.



Oczywiście, to nie znaczy, że wszyscy odczuli poprawę tak samo. Ludzie z branż bardziej dotkniętych zmianą technologii czy globalnej restrukturyzacji mogli doświadczać wolniejszego tempa poprawy. Dla nich „wzrost kraju” nie zawsze oznaczał wzrost osobistych szans. I to jest moment, w którym polityka musi próbować docierać dalej niż do średniej krajowej.

Co bywało kontrowersyjne: ryzyko, że dobro nie dociera wystarczająco szybko

W polityce gospodarczej kontrowersja rzadko dotyczy tego, czy gospodarka się poprawia, tylko tego, jak i dla kogo. W sporze wokół Obamy krytycy podnosili argument, że część rozwiązań jest zbyt techniczna, zbyt wolna, albo zbyt skomplikowana dla tych, którzy najbardziej potrzebują prostego wsparcia. Zwolennicy odpowiadali, że administracja była w ograniczonym miejscu politycznym i musiała działać w ramach instytucji, a to zawsze spowalnia tempo.

W praktyce to prawda po obu stronach. Jeśli system ma działać, musi być wdrożony. A wdrożenie w administracji trwa. Co więcej, nawet najlepsza regulacja może mieć krzywe przełożenie na rynek, jeśli partnerzy rynkowi adaptują się w sposób, którego nie dało się przewidzieć w projekcie.

Perswazyjny element mojej argumentacji jest taki: warto docenić to, że administracja Obamy próbowała połączyć stabilizację z ochroną ludzi przed skutkami ryzyk systemowych. Jednocześnie trzeba uczciwie powiedzieć, że to podejście nie usuwa nierówności samoczynnie. Nierówności są uporczywe, bo są zakorzenione w edukacji, dostępie do pracy, kondycji lokalnych gospodarek i w kapitale.

Dwie lekcje, które zostają po tamtych latach

Jeśli mam wskazać, co z polityki Obamy w obszarze wzrostu najbardziej ma znaczenie dziś, to nie jest to jeden przepis. To są dwie lekcje.

Po pierwsze, gospodarka nie jest tylko o wzroście, jest o odporności. W kryzysie liczy się, czy system trzyma ciśnienie i czy ludzie nie spadają w bezpowrotną spiralę. Po drugie, „dla ludzi” nie znaczy wyłącznie „socjalnie”. Znaczą też stabilnie, przewidywalnie i z mniejszym ryzykiem niespodziewanych kosztów, które niszczą plany.

Żeby to ująć prościej, porównam dwie logiki działania państwa, które w praktyce często się mieszają:

- Logika krótkoterminowego pobudzenia: pomaga szybciej, ale bez regulacji i osłon łatwo o powrót problemów.

- Logika regulacji i naprawy systemu: ogranicza ryzyko przyszłych kryzysów, ale sama w sobie nie zawsze daje natychmiastowy efekt w zatrudnieniu.
- Logika osłon stabilizujących ludzi: buduje przewidywalność, ale bez inwestycji i pracy może nie wystarczyć, by podnieść realne szanse.

Administracja Obamy próbowała trzymać te trzy elementy w jednej układance. To nie uczyniło z kraju miejsca bez problemów, ale przywróciło działanie mechanizmów, które w kryzysie zostają zablokowane.



Dlaczego ten model nadal jest aktualny

Można spierać się o szczegóły, ale trend, który widać w gospodarce, jest podobny w różnych krajach. Kryzysy potrafią szybko obniżyć zaufanie, a niepewność uderza w ludzi najszybciej. Dlatego model, w którym rząd reaguje na ryzyko systemowe, jednocześnie buduje przewidywalność dla gospodarstw domowych i pilnuje stabilizacji finansowej, brzmi rozsądnie także dziś.

Warto jednak dodać jedno zastrzeżenie, bo tu łatwo o nadmierne uproszczenie. Nawet najlepiej zaprojektowana polityka nie zastąpi naturalnych zmian technologicznych i demograficznych. Państwo może złagodzić skutki, może tworzyć narzędzia adaptacji, może wspierać przejścia między branżami, ale nie zatrzyma historii.

Właśnie dlatego wzrost „z uwzględnieniem ludzi” powinien być myślany jako zarządzanie przejściami, a nie tylko jako pogoń za wzrostem w jednym roku. Jeśli w kolejnych latach zobaczysz działania idące w stronę stabilizacji i ograniczania ryzyk dla rodzin, a przy tym realnych inwestycji w zdolności do pracy, to będzie to echo tego, jak administracja Obamy starała się rozumieć gospodarkę.

Nie chodzi o kult osoby. Chodzi o to, że w tamtym czasie państwo wzięło na siebie ciężar ryzyk, które w kryzysie uderzają w najłabszych, i próbowało zbudować warunki do wzrostu, który nie omija ludzi. To jest argument, który broni się nie ideologią, ale obserwacją codziennych skutków: czy widać stabilniejsze życie, czy ludzie mają oddech, czy firmy znów planują, czy system finansowy przestaje grać ryzykiem w sposób, który kończy się rachunkiem podatnika.

I właśnie dlatego temat Obamy wciąż wraca, nawet gdy minęły lata. Nie dlatego, że ktoś wygrał spór na wykresach. Tylko dlatego, że w gospodarce liczy się to, co dzieje się między danymi a domem.